

„Odchudzanie” armii Stanów Zjednoczonych

18 stycznia 2016

Po nieudanych misjach „stabilizacyjnych” w Iraku i Afganistanie armia amerykańska przeżywa obecnie trudne chwile. Znacznemu pogorszeniu uległ jej wizerunek wśród Amerykanów, co przekłada się na ich niechęć do podejmowania pracy w tej w pełni już zawodowej armii. Niektórzy eksperci amerykańscy biją na alarm i zastanawiają się, kto będzie walczył w przyszłych wojnach? Czy będą to dobrze wyszkoleni i odpowiednio zmotywowani żołnierze amerykańscy, czy też najemnicy?

Najnowsze plany Pentagonu przewidują redukcję armii z obecnego (w 2015 roku) stanu liczebnego 566.000 żołnierzy do 440.000 żołnierzy w 2019 roku, czyli do najniższego stanu osobowego od momentu zakończenia II wojny światowej. Przyczyną tego jest dążenie nie tylko do ograniczenia wydatków na cele wojskowe i niechęć obecnej administracji prezydenta Baracka Obamy do angażowania żołnierzy amerykańskich w rozwiązywanie różnych konfliktów regionalnych, lecz także brak chętnych do służby w szeregach US Army. Deficyt rekrutów odczuwają wszystkie cztery rodzaje wojsk. Pomimo bardzo korzystnej sytuacji demograficznej w tym kraju, w którym w ubiegłym roku było aż 21 mln potencjalnych poborowych w wieku 17–21 lat, nie udało się zatrudnić w wojskach lądowych, marynarce, lotnictwie i marines (piechocie morskiej) wszystkich 177 tys. nowych rekrutów. Pozostało od kilku do kilkunastu tysięcy (w zależności od rodzaju wojsk) wolnych miejsc pracy, które okazały się nieatrakcyjne nawet dla amerykańskich bezrobotnych.

Dzieje się tak w sytuacji stałego „odchudzania” stanu liczebnego armii amerykańskiej. Istnieją obawy, że jej liczebność ulegać będzie dalszemu zmniejszaniu, gdyż tylko 1% młodych Amerykanów chce służyć w jednostkach wojskowych i

posiada zarazem do tego odpowiednie predyspozycje (warunki fizyczne, wykształcenie i motywację).

Nawet jeśli wszyscy Amerykanie w wieku poborowym chcieliby podjąć pracę w armii, to i tak tylko 30% z nich nadaje się do służby w siłach zbrojnych. Z istniejącego potencjału 21 mln młodych Amerykanów, 9,5 mln w ogóle nie nadaje się do służby głównie z powodu braku odpowiedniego wykształcenia, przerwania nauki w szkole średniej lub wyższej czy braku podstawowych umiejętności, takich jak np. proste wyliczenie sumy, iloczynu czy też innych działań „matematycznych” bez użycia kalkulatora. Pozostałe 7 mln nie nadaje się do wojska z powodu otyłości, posiadania tatuaży na rękach, twarzach i innych częściach ciała, skłonności do alkoholu i narkotyków oraz popełnionych w przeszłości różnych przestępstw natury kryminalnej.

Tak więc w praktyce tylko ok. 4,5 mln młodych Amerykanów nadaje się do służby lub raczej do pracy w zawodowej armii amerykańskiej. Jednak tylko 390 tys. z nich wiąże swoją karierę zawodową ze służbą mundurową. Są oni jednak postrzegani przez swoich rówieśników jako swoiści desperaci, którzy nie potrafią znaleźć dla siebie lepiej płatnej i przede wszystkim mniej niebezpiecznej pracy w innych działach gospodarki. Od pewnego czasu pewną prawidłowością jest, że do amerykańskiej armii garną się zwykle młodzi ludzie bez wyższego wykształcenia i są to coraz częściej kandydaci z mniejszości etnicznych. Faktem bowiem jest, że tylko 10 proc. rekrutów stanowią osoby legitymujące się ukończeniem szkoły wyższej i stopniem licencjata, z czego aż połowa pochodzi z mniejszości etnicznych.

W miarę jak zmniejsz się w USA stopa bezrobocia, maleje także zainteresowanie pracą w strukturach militarnych. W ostatnich latach zmniejsza się także zaangażowanie Ameryki w „rozwiązywanie” wielu regionalnych konfliktów zbrojnych, ale i tak powoli zaczyna brakować żołnierzy do zapewnienia bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego oraz obrony

amerykańskich interesów w różnych zakątkach świata. Nie pomagają nawet podwyżki płac i różnych dodatków, które w amerykańskiej armii wzrosły od 2000 roku o 90%.

W odróżnieniu od raczej skromnych (jak na realia amerykańskie) warunków płacowych znacznie większe wrażenie na potencjalnych rekrutach robią wiadomości o 5.366 zabitych, amerykańskich żołnierzach w Iraku i Afganistanie i tysiącach rannych. Takie informacje skutecznie zniechęcają wielu młodych ludzi przed wstępowaniem do zawodowej armii skoro mogą oni znaleźć bardziej atrakcyjną, lepiej płatną i przede wszystkim bezpieczniejszą pracę w innych działach gospodarki narodowej.

Trudno więc będzie przyciągnąć do niej potrzebną liczbę nowych rekrutów bez ponownego wprowadzenia obowiązkowego poboru. Takie jednak rozwiązanie nie wchodzi w Stanach Zjednoczonych, przynajmniej w obecnych realiach geopolitycznych, w rachubę, podobnie jak dalsze, znaczące zwiększanie nakładów na wyższe płace dla żołnierzy i oficerów. Większe nakłady przewidziane są natomiast na dalszą rozbudowę amerykańskiej floty wojennej, tak aby można było utrzymać jej dominację na północnym Atlantyku i północnym Pacyfiku oraz przede wszystkim na stałą modernizację sił nuklearnych. To ostatnie stało się priorytetowym celem w polityce bezpieczeństwa narodowego USA po nieudanym „resecie” z Rosją. Zarówno bowiem Amerykanie, jak i Rosjanie zredukowali swoje arsenały nuklearne, ale redukcja ta objęła tylko broń starszego typu, której utrzymywanie w gotowości bojowej było coraz droższe. Od kilku lat przestarzała broń jądrowa zastępowana jest przez głowice atomowej nowej generacji, które zapewniają podobną, a nawet większą siłę rażenia przy użyciu mniejszej liczby środków przenoszenia.

Można więc założyć z dużym prawdopodobieństwem, że jeśli w najbliższej przyszłości nie dojdzie do wybuchu wojny w skali globalnej, rzecz jasna z użyciem tylko broni konwencjonalnej, to utrzymane zostanie w najbliższych kilku latach zaplanowane tempo redukcji stanu osobowego amerykańskiej armii. Nie musi

to jednak oznaczać znaczniejszego pogorszenia jej zdolności bojowej, jeśli w najbliższej dekadzie zainwestowanych zostanie ponad 330 mld USD w rozbudowę amerykańskich sił nuklearnych oraz zwiększone zostaną nakłady także na modernizację broni konwencjonalnej. W tej ostatniej dziedzinie Amerykanie utrzymują od lat przewagę na armiami innych państw, w tej liczbie także mocarstw regionalnych, z których takie jak Chiny, Rosja i Indie aspirują do roli mocarstw światowych.

Autorstwo: prof. dr hab. Adam Gwiazda

Źródło: Geopolityka.org